

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

### SAM

Isabel niechętnie pojechała z księgarni do szkoły, a kiedy Karyn przybyła, żeby mnie zastąpić, Cole i ja ruszyliśmy w kierunku domu tak szybko, jak tylko się dało. W samochodzie podzielił się ze mną swoim błyskotliwym planem złapania Grace. W siadła.

Dotarliśmy do lasu. Był mokry i cichy po wielu dniach deszczu. Cole prowadził mnie pewnym krokiem, który świadczył o tym, że często przemierzał te ścieżki.

Jakoś nie do końca potrafiłem uwierzyć w to, że przez wszystkie te dni, kiedy myślałem, że chłopak poświęca cały swój czas na demolowanie domu, on próbował łapać wilki. Ale w nim wszystko było nieprzewidywalne, więc chyba nie miałem prawa być aż tak zaskoczony.

– Ile pułapek zrobisz? – zapytałem, gdy przedzieraaliśmy się przez las.

Powinienem myśleć o nowinach, które przekazała nam Isabel, i nieuchronnie zbliżającym się polowaniu na wilki, ale obecnie wolałem się skupić na znajdowaniu ścieżki pomiędzy drzewami. Było tak ślisko, że marsz wymagał koncentracji. Po wczorajszej burzy woda wciąż skapywała z gałęzi, gdy się ich przytrzymywałem, a stopy rozjeżdżały mi się we wszystkich kierunkach na błotnistym podłożu.

– Pięc – rzucił Cole, zatrzymując się, żeby postukać butem o pień drzewa. Kawałki błota odpadły od podeszwy. – Mniej więcej.

– Mniej więcej?

Cole ruszył dalej.

– Następną pułapkę zrobię na Toma Culpepera – oświadczył, nie odwracając się.

Nie miałem nic przeciwko.

– A co planujesz, gdy już złapiesz jakiegoś wilka?

Cole wydał z siebie przesadny jęk obrzydzenia, gdy przypadkiem wlał w jelenie odchody.

– Dowiem się, co wywołuje naszą przemianę. I dowiem się, czy naprawdę zostałeś wyleczony.

Byłem zaskoczony, że dotąd nie poprosił mnie o próbkę krwi.

– Może potem zwerbuję cie do łagodniejszych eksperymentów – kontynuował Cole z zadumą.

Najwyraźniej znałem go lepiej, niż sądziłem.

– Może lepiej nie – wymamrotałem.

Nagle uchwyciłem w powietrzu woń, która przypominała mi Shelby. Obróciłem się powoli i ostrożnie przestąpiłem nad przypominającą bicz, a dodatkowo pokryta kolcami jaskrawozieloną gałęzią u moich stóp.

– Co robisz, Ringo? – zapytał Cole, przystając, żeby na mnie poczekać.

– Wydawało mi się, że poczułem... - zamilkłem. Nie wiedziałem, jak to wyjaśnić.

– Białą wilczycę? Tę, która tak wszędzie szcza?

Spojrzałem na jego cwaną minę.

– Tak. Shelby – powiedziałem. – Są z nią same kłopoty. Widziałeś ją ostatnio?

Cole pokiwał głową. Żołądek skręcił mi się w zimny supeł rozczarowania. Nie widziałem Shelby od miesięcy i miałem nadzieję, że opuściła te lasy. Zdarzało się, że wilki porzucały swoje watahy. Większość sfor miała kozła ofiarnego, którego się czepiano, zabierano mu jedzenie, spychano go na sam dół hierarchii. Takie wilki często przemierzały setki kilometrów, żeby założyć własną grupę, z dala od prześladowców.

Kiedyś to Salem, starszy i nie do końca zrównoważony psychicznie wilk, był wilkiem omega w naszej sforcie. Ale kiedy wygrzebywałem się z zapalenia opon mózgowych, przekonałem się, jak nisko Shelby upadła w oczach Paula, a zatem i całej grupy. Zupełnie jakby Paul wiedział, co zrobiła mnie i Grace.

– Jakie kłopoty? – zapytał Cole.

Nie miałem ochoty mu opowiadać. Mówienie o Shelby wymagałoby wyjęcia wspomnień o niej z pudełek, do których ostrożnie je powkładalem, a raczej nie chciałem tego jeszcze robić.

- Shelby woli być wilkiem – wyjaśniłem z rezerwą. – Ona... miała złe dzieciństwo i nie wszystko jest z nią w porządku... - Gdy tylko to powiedziałem, pożałowałem, bo dokładnie to samo mama Grace powiedziała o mnie.

Cole odchrząknął i rzucił:

- Beck chyba lubi ludzi z problemami.

Odwrócił się i podjął marsz, mniej więcej podążając tropem pozostawionym przez Shelby. Po chwili ruszyłem za nim, chociaż zatopiony w myślach.

Przypomniałem sobie, jak Beck przyprowadził Shelby do domu. Nakazał nam wszystkim, żebyśmy dali jej czas i przestrzeń, i jeszcze to coś, czego potrzebowała, ale czego nie mogliśmy jej zaoferować. Minęło kilka miesięcy. To był ciepły dzień, podobny do dzisiejszego. Beck poprosił: „Czy mógłbyś pójść i sprawdzić, co kombinuje Shelby?”. Tak naprawdę nie sądził, żeby robiła coś złego, w przeciwnym wypadku poszedłby sam.

Znalazłem ją na zewnątrz, siedzącą w kucki na podjeździe. Wzdrygnęła się, słysząc moje kroki, ale kiedy zobaczyła, że to ja, odwróciła się z powrotem, obojętnie. Traktowała mnie jak powietrze: nie byłem ani zły, ani dobry. Po prostu byłem. Nie zareagowała, kiedy podszedłem do miejsca, w którym siedziała. Twarz miała zasłoniętą włosami, tak jasnymi, że zdawały się białe.

W dłoni trzymała ołówek i rozgrzebywała nim wnętrze ptaka, ciągnąc za pętle jelit samym jego koniuszkiem. Bebechy wyglądały jak robaki. Pośród nich leżał jakiś metalicznie zielony i wyglądający na tłusty organ. Tuż obok wciąż żywy szpak szarpał się i przebierał nóżkami, trzymany jak marionetka na własnych wnętrznościach oplątanych wokół ołówka.

- To im robimy, kiedy je zjadamy – beznamytnie objaśniła mi Shelby.

Pamiętam, że po prostu tam stałem, próbując wytropić jakikolwiek ślad emocji w jej głosie. Wskazała na zmasakrowaną jamę brzuszną ptaka innym ołówkiem, który trzymała w drugiej dłoni. Był to jeden z moich ołówków. Z mojego pokoju. Ten z Batmanem. Dopiero co zatemperowany. Myśl, że Shelby była w moim pokoju, wydała mi się bardziej przerażająca niż widok torturowanego zwierzęcia na podjeździe.

- Ty to zrobiłaś? – zapytałem, choć wiedziałem, że tak.

Shelby jakby mnie nie słyszała.

- Tu jest jego mózg – powiedziała. – Oko strusia jest większe niż jego mózg.

Wskazała na oko szpaka. Widziałem ostry koniuszek ołówka spoczywający bezpośrednio na lśniącej czarnej powierzchni i coś ścisnęło mnie w środku. Szpak leżał już całkowicie nieruchomo. Jego odstąpione wnętrze pulsowały wyraźnie.

- Nie - powiedziałem.

Wtedy Shelby wetknęła mój ołówek z Batmanem w oko szpaka. Uśmiechnęła się przy tym odległy uśmiechem, który nie miał nic wspólnego z radością. Nawet nie odwróciła do mnie głowy.

Stałem tam, a serce waliło mi tak, jakbym to ja był jej ofiarą. Oddychałem nierówno, mdliło mnie. Patrząc na Shelby i na ptaka – na czerni i biel, i czerwień – ciężko było sobie przypomnieć, czym jest szczęście.

Nigdy nie powiedziałem o tym Beckowi.

Stałem się więźniem wstydu. Nie powstrzymałem jej. To był mój ołówek. Moją pokutą było to, że nigdy nie zapomniałem tamtego widoku. Nosilem go w sobie i był tysiąc razy cięższy niż waga małego ptasiego ciała.

*I cóż za bestia, której czas wreszcie powraca,*

## *Pełnie w stronę Betlejem, by tam się narodzić?\**

Chciałem, żeby Shelby nie żyła. Chciałem, żeby ten zapach, za którym obaj z Cole'em podążaliśmy, był tylko wspomnieniem, a nie groźbą. Kiedyś wystarczyłoby mi, żeby opuściła te lasy i poszukała innej sfery, ale już nie byłem tamtym Samem. Teraz miałem nadzieję, że znajdowała się w miejscu, z którego nie było powrotu.

Ale jej zapach utrwalony w wilgotnym poszyciu lasu był zbyt mocny. Ona żyła. Była tutaj. Niedawno. Zatrzymałem się, nasłuchując.

– Cole... - szepnąłem.

Natychmiast zamarł w bezruchu. Coś w moim głosie go ostrzegło. Przez chwilę nie zarejestrowaliśmy niczego szczególnego. Czuć było tylko zapach lasów budzących się do życia pod dotykiem ciepłego powietrza. Słychać było ptaki nawołujące się pośród drzew. Szczekającego psa gdzieś w oddali. I nagle... do naszych uszu znowu dobiegł ten odległy, słaby, przesycony strachem jęk. Gdybyśmy się nie zatrzymali, nasze kroki z pewnością by go zagłuszyły. Jednak teraz wyraźnie usłyszałem świszczące skomlenie cierpiącego wilka.

– Jedna z twoich pułapek? – zapytałem cicho Cole'a.

Potrząsnął głową.

Dźwięk rozległ się znowu. Złe przecucie ścisnęło mi żołądek. Nie sądziłem, żeby to była Shelby.

Przyłożyłem palec do ust, a Cole skinął głową na znak, że rozumie. Jeśli zwierzę było ranne, nie chciałem go wystraszyć, zanim będziemy mogli mu pomóc.

Nagle staliśmy się wilkami w ludzkich skórkach – bezgłośnymi i czujnymi. Tak jak wtedy, gdy polowałem, tak i teraz przesuwalem się nisko przy ziemi, długimi krokami, a moje stopy ledwie dotykały podłoża. Nie musiałem sobie przypominać, co trzeba robić. Po prostu na ten jeden moment odrzuciłem moje człowieczeństwo. Pod tą warstwą czekały na mnie stłumione zwierzęce instynkty, gotowe, by z powrotem wypłynąć na powierzchnię.

Ziemia pod moimi stopami była grząska i śliska – mokra glina i wilgotny piasek. Gdy schodziłem do płytkiego wąwozu, z ramionami wyciągniętymi na boki dla równowagi, moje buty ślizgały się, zostawiając po sobie rozjechane ślady.

Zatrzymałem się. Nasłuchiwałem. Cole za mną syknął, też próbując utrzymać równowagę. Znowu usłyszałem skomlenie wilka. Było tak pełne rozpaczy, że zdołało poruszyć jakąś strunę głęboko we mnie. Skradałem się dalej.

Serce dudniło mi w uszach.

Im bliżej celu byłem, tym mocniej czułem, że coś jest nie tak. Skomlaniu wilka wtórował dziwny chlupot, co nie miało sensu. Wąwozem nie płynęła żadna rzeka, a jezioro znajdowało się w innej części lasu. A jednak wciąż słyszałem odgłosy wody.

Nad naszymi głowami ptak wyśpiewywał głośno swoje trele, a wokół nas igrał wietrzyk, podrywając liście i odślaniając ich blade spody. Cole patrzył na mnie, ale nie całkiem na mnie, raczej przeze mnie. Nasłuchiwał. Miał teraz dłuższe włosy niż wtedy, gdy się poznaliśmy. O dziwo wyglądał tak, jakby należał do tego miejsca, świadomy i spięty. Płatki wirowały wokół nas w podmuchach wiatru, chociaż w pobliżu nie było żadnych kwitnących drzew. To był zwyczajny i piękny wiosenny dzień, ale ja oddychałem nierówno i potrafiłem myśleć tylko o jednym: „Zapamiętam ten moment do końca życia”.

---

\* William B. Yates, „Drugie przejście”, tłum. S. Barańczak, [w:] William B. Yates, „Poezje wybrane”, PIW, Warszawa 1987, s. 99.

Nagle wyraźnie poczułem, jakbym tonął. Poczułem wodę, zimną i mulistą, zamykającą się nad moją głową, palącą mnie w nozdrza, ściskającą płuca w żelaznej obręczy. To był strzęp wspomnienia kompletnie wyrwany z kontekstu. Tak komunikowały się wilki.

I wtedy zrozumiałem, gdzie jest ten wilk. Zapomniałem o ostrożności i puściłem się biegiem.

– Sam! – krzyknął Cole.

Zatrzymałem się w ostatniej chwili tuż nad wypełnioną wodą jamą. Ziemia osunęła się spod mojej prawej stopy i z pluskiem wpadła do jeziora. Cofnąłem się na bezpieczną odległość i zajrzałem do środka.

Glina poniżej była szokująco żółta. Plama nierealnego koloru wyglądał spod ciemnych liści. To był lej krasowy, nowo powstały, sądząc po świeżo odstoniętych korzeniach drzew, które sterczały z jego śliskich zboczy. Krawędź otworu była poszarpana w miejscu, w którym zapadła się ziemia – deszcz musiał mocno nadwerężyć sklepienie podziemnej jaskini. Dziura była głęboka na trzy do pięciu metrów – trudno to było stwierdzić, patrząc z góry. Jej dno wypełniał żółtopomarańczowy szlam wystarczająco gęsty, by przywierać do zboczy, ale na tyle rzadki, by można się było w nim utopić.

Pływał w nim wilk. Jego futro było całkowicie pokryte błotem. Już nie skomlił, tylko unosił się bezwładnie na mazi. Nawet nie przebierał łapami. Był zbyt ubłocony, żebym mógł go rozpoznać.

– Żyjesz? – wyszeptalem.

Na dźwięk mojego głosu wilk konwulsyjnie szarpnął kończynami i uniósł łeb, żeby na mnie spojrzeć.

Grace...

Byłem jak radio nastrojone na wszystkie stacje jednocześnie. W mojej głowie kłębiło się tyle myśli, że żadna nie miała znaczenia.

Teraz dostrzegłem świadectwo jej zmagania: ślady pazurów w miękkiej glinie w pobliżu linii wody, kawałki ziemi wyrwane ze zboczy leja, ścieżki wyslizgane w miejscach, w których jej ciało z powrotem osuwało się do wody. Była tu już od dłuższego czasu, a kiedy na mnie spojrzała, zobaczyłem, że jest zmęczona walką. Dostrzegłem też w jej oczach świadomość, zadumę, zrozumienie. Gdyby nie zimna woda, która utrzymywała jej ciało w wilczej formie, prawdopodobnie byłaby już człowiekiem.

To tylko pogarszało sytuację.

Cole nabrał powietrza, zanim powiedział:

– Mamy coś, po czym mogłaby się wspiąć? Coś, żeby chociaż...

Nie dokończył, bo ja już przetrząsałem okolice jamy w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby się przydać. Ale co mogłem zrobić, skoro Grace pozostawała w wilczej formie? Poziom wody zaczynał się co najmniej dwa metry poniżej krawędzi otworu i nawet gdybym zdołał znaleźć coś wystarczająco długiego, żeby opuścić to do środka – może znalazłoby się coś w szopie – to musiałyby być coś, na co mogłaby wejść, skoro nie była w stanie się wspiąć. Czy w ogóle będę potrafił przekonać ją, żeby na coś weszła? Nawet gdyby miała ludzkie dłonie, palce, to nadal byłoby trudne, ale przynajmniej nie niemożliwe.

– Wszystko na nic – uznał Cole, trącając stopą jakąś gałąź. Wokół jamy leżało tylko parę próchniejących starych pni sosen, powalonych przez wiek i burze, nic przydatnego. – Mamy coś w domu?

– Drabina – powiedziałem.

Droga w tę i z powrotem zajęłaby mi jednak co najmniej trzydzieści minut. Nie sądziłem, żeby Grace mogła wytrzymać w błocie kolejne pół godziny. Tu, w cieniu drzew, było zimno, a w wodzie musiało być jeszcze gorzej. Jak zimno musi być, żeby dostać hipotermii?

Znowu zbliżyłem się do krawędzi jamy. Czuję się bezradny. Zaczął mnie zatruwać ten sam strach, który towarzyszył mi, gdy zobaczyłem atak padaczki Cole'a.

Grace zbliżyła się do ściany leja obok mnie. Obserwowałem, jak próbuje znaleźć oparcie dla łap trzęsących się ze zmęczenia. Nie zdołała wydzwignąć się z wody nawet na kilka centymetrów, a już zsunęła

się z powrotem ze zbrocza. Jej głowa ledwie unosiła się nad wodą, drżące uszy miała na wpół położone po sobie. Wszystko w jej wyglądzie świadczyło o skrajnym wycieńczeniu, wyziębieniu, porażce.

– Nie wytrzyma do czasu, aż przyniesiemy drabinę – stwierdził Cole. – Nie ma już tyle siły.

Poczułem mdłości na myśl o prawdopodobieństwie jej śmierci.

– Cole, to przecież Grace... - jęknąłem żałośnie.

Wtedy on spojrzał na mnie zamiast na nią. Miał dziwny wyraz twarzy.

Wilczyca zamrugła, przez chwile odpowiadając spojrzeniem na spojrzenie. Jej brązowe ślepia były utkwione w moich żółtych oczach.

– Grace – wyszeptałem. – Nie poddawaj się.

To najwyraźniej dodało jej sił, bo znowu zaczęła płynąć, tym razem w kierunku innej części leja. Z bólem pomyślałem, że w tej ponurej determinacji wilczycy widać zdecydowany charakter Grace. Znowu próbowała się wspinać, zapierając się barkiem o zbrocze, a druga łapą skrobiąc w stromą ścianę. Tylne łapy opierała na czymś pod powierzchnią wody. Wyciągając się do góry, tak że aż drgały jej mięśnie, napierała na glinianą ścianę, przysmykając jedno oko, do którego sphywało jej błoto. Cała drżąca, patrzyła na mnie tym drugim.

Tak łatwo było dojrzeć w niej moją Grace, pomimo szlamu, wilczej skóry i całej reszty.

A potem ściana się poddała. Kaskada błota i piachu runęła w dół i wilczyca znów wpadła do wody. Jej głowa zniknęła pod powierzchnią.

Przez nieskończenie długą chwilę brązowa woda pozostawała całkowicie nieruchoma.

W ciągu tych kilku sekund, w trakcie których Grace walczyła o to, żeby się wynurzyć, podjąłem decyzję.

Ściągnąłem kurtkę, stanąłem na krawędzi leja i zanim zdążyłem rozważyć wszelkie przerażające potencjalne konsekwencje tego czynu, zsunąłem się do środka.

Usłyszałem, jak Cole woła moje imię, ale było już za późno.

Na wpół zjechałem, na wpół wpadłem do wody. Moja stopa dotknęła czegoś śliskiego i zanim zdołałem określić, czy to już dno jamy, czy tylko jakiś wystający korzeń, pochłonęło mnie błoto. Piaszczysta breja zapiekła mnie w oczy. W ciemności czas zniknął, stał się pojęciem względnym. Chwilę potem wymacałem nogami dno i wystawiłem głowę nad powierzchnię.

– Sam Roth, ty draniu! – zawołał Cole.

W jego głosie pobrzmiwał podziw, co prawdopodobnie oznaczało, że podjąłem złą decyzję.

Woda sięgała mi do obojczyków. Była lepka, szlamowata i przenikliwie zimna. Znajdując się w tej cholernej jamie, czułem, jakbym nie miał skóry, tylko same kości obmywane lodowatym błotem.

Grace trwała dociśnięta do przeciwległej ściany, z łbem nad powierzchnią, rozdarta pomiędzy czujnością a uczuciem, którego jej zwierzęce rysy nie potrafiły wyrazić. Teraz, kiedy znałem głębokość jamy, uświadomiłem sobie, że wilczyca musi stać na tylnych łapach, opierając się o ścianę, żeby oszczędzać siły.

– Grace – szepnąłem.

Na dźwięk mojego głosu w jej oczach pojawił się strach. Starąłem się nie brać tego do siebie. Wilcze instynkty brały górę niezależnie od tego, ile ludzkich emocji widziałem wcześniej w jej spojrzeniu.

Musiałem przemyśleć mój plan podsadzenia jej do krawędzi jamy. Trudno mi było jednak się skupić. Było tak zimno, że pokrywająca moje ciało gęsia skórka niemalże bolała. Instynkt podpowiadał mi, żebym się stąd wynosił, zanim się przemienię.

Było tak zimno.

Nade mną Cole kucnął przy krawędzi jamy. Wyczuwałem jego zniecierpliwienie, słyszałem niezadane pytanie, ale nie wiedziałem, co powiedzieć.

Przesunąłem się ostrożnie w kierunku Grace, żeby sprawdzić, jak zareaguje. Szarpnęła się do tyłu w odruchu obronnym i straciła grunt pod łapami. Zniknęła w wodzie i tym razem nie było jej przez kilka oddechów. Kiedy znowu się wyłoniła, bezskutecznie próbowała znaleźć poprzedni punkt oparcia, ale ściana nie chciała jej już podtrzymać. Anemicznie przebierała łapami, głośno wydychając powietrze przez nozdrza. Nie mieliśmy zbyt wiele czasu.

– Mam tam zejść? – zapytał Cole.

Potrząsnąłem głową. Ledwie byłem w stanie mówić.

– Za... z-zimno. Przemienisz... się...

Obok mnie wilk zaskomlał cicho ze strachu.

„Grace – pomyślałem, zamykając oczy. – Proszę, pamiętaj, kim jestem”. Uniosłem powieki.

Zniknęła. Zobaczyłem tylko parę zmarszczek na wodzie w miejscu, w którym tonęła.

Rzuciłem się do przodu – moje buty grzęzły w miękkim szlamie na dnie jamy – i zacząłem zagarniać ramionami wodę. Sekundy mijały, a ja wyczuwałem tylko błoto na skórze i korzenie pod palcami. Zbiornik, który z góry wydawał się mały, okazał się ogromny i bezdenny.

Wszystko, o czym potrafiłem myśleć, to: „Ona umrze, zanim ja odnajdę. Ona umrze kilka centymetrów od koniuszków moich palców, wciągając wodę przez nos i oddychając błotem. Będę przeżywał ten koszmarny moment wciąż i wciąż, każdego dnia, aż do końca swoich dni”.

W tym momencie moje dłonie natrafiły na jakiś kształt. Poczułem pod palcami mokre futro. Oplotłem tułów wilczy ramionami, podniosłem ja i wydostałem jej głowę nad wodę.

Nie musiałem się martwić, że zacznie kłapać na mnie zębami. Była wiotka w moich ramionach, niemal nic nie ważyła, a woda jeszcze wypychała ją na powierzchnię. Po wielu godzinach spędzonym w wodzie była niczym golem ulepiony z błota i patyków, zimna niczym trup. Brązowy szlam z bulgotem wypływał jej z nozdrzy.

Nie mogłem przestać drzeć. Przytuliłem czoło do jej ubłoconego pyska. Nawet się nie wzdrygnęła. Poczułem jej żebra dociśnięte do mojego brzucha. Znowu odetchnęła, wypluwając lepłą, brudną wodę.

– Grace – wyszeptalem. – To się tak nie skończy.

Każdy z jej wydechów był mokry i chrapliwy. Różne pomysły i rozwiązania rywalizowały o pierwsze miejsce w mojej głowie: gdybym tak wyciągnął ją bardziej z wody, gdyby tak udało mi się ją ogrzać, gdybym tak utrzymał ja nad wodą, dopóki nie odzyska trochę sił, gdyby tak Cole zdobył drabinę... Ale nie potrafiłem skupić się na żadnym z nich. Podtrzymując jej łeb ponad powierzchnia płynnego błota, krążyłem powoli, próbując wymacać stopami podpórkę, na której wcześniej stała.

Spojrzałem w górę, w stronę krawędzi jamy. Cole zniknął. Nie wiedziałem, co myśleć.

Przesuwając się powoli, wymacałem stopą śliski, ale gruby korzeń, który wytrzymał moją wagę, i oparłem się o ścianę, z wilczym ciałem Grace w ramionach. Przytulałem ja do siebie, dopóki nie poczułem dziwnie szybkiego bicia jej serca przy mojej piersi. Drżała teraz – nie wiedziałem, czy ze strachu, czy z wyczerpania. Nie wiedziałem też, jak nas stąd wydostanę.

Ale wiedziałem jedno – nie zamierzałem się poddać.